

Drogi

Panie!

Sanok 26.4.68.

Wprawdzie mi nie do pisania, bo aparat fotograficzny jaki sobie po długich i upartych ciułaniach kupiłem [PENTACON-SIX] i który jak na moje warunki kosztował majątek, zepsuł się w dzień po kupieniu [ja go nie zepsułem, bo do diabła z aparatami miałem do czynienia już od wielu lat i byłem niegdyś nawet członkiem ZPAF – po prostu błąd fabryczny]. Kupiłem go przedwczoraj, więc zepsuł się przed chwilą. Ten list będzie być może trochę w cieniu tego zepsucia. O Gombrowiczu: FATALNY ZBIEG OKOLICZNOŚCI! Nieporozumienie towarzyskie! To nie o „Transatlantyk” chodzi lecz o DZIENNIKI TOM II. Co innego rozumiał czy rozumie Gombrowicz przez pisarstwo WŁASNE, a nie NARODOWE, a co innego Pan odczytał z „Transatlantyku”. To co wspomniałem, to były rozważania czynione w związku z problemami literatury południowoamerykańskiej poruszonymi w dyskusji z młodymi pisarzami tego kontynentu którzy stanowili podówczas środowisko intelektualne w jakim się Gombrowicz obracał. Otóż reasumując pobieżnie to co tam było rozważane, można ująć to w ten sposób, że pisarze ci uważali iż literatura południowoamerykańska nie natrafiła na swoją „złotą żyłę”, problem „narodowy”, nie sięgnęła „do źródeł” sztuki kontynentu etc. etc. i to właśnie skazuje ją na drugorzędność, wtórność w stosunku do Europy [której dorównanie stanowi tam problem nr 1]. I to stanowisko właśnie atakuje Gombrowicz bardzo jak na mój gust przekonywująco, pisząc o potrzebie INDYWIDUALIZMU, WŁASNEGO pisarstwa, nie oglądaniu się ani na Europę ani na własny naród lecz na siebie i na to czym się jest samemu. Zresztą i w pierwszym tomie dziennika rozważania przy okazji Mickiewicza tym razem o literaturze polskiej [str. 17, cyt:] „...że nie należy brać zbyt serio metafory jakobyśmy my

Polacy ich „wydali”; gdyż oni tylko urodzili się wśród nas. Cóż ma wspólnego z Szopenem pani Kowalska? Czy dlatego że Szopen napisał ballady wzrasta choćby o szczyptę ciężar gatunkowy pana Powalskiego? Czy bitwa pod Wiedniem może przysporzyć chociażby łut chwały panu Ziembickiemu z Radomia? Nie, nie jesteśmy (mówiłem) bezpośrednimi spadkobiercami ani wielkości przeszłej ani małości – ani rozumu, ani głupoty – ani cnoty, ani grzechu – i każdy za siebie tylko jest odpowiedzialny, każdy jest sobą.” Tak. To że Gombrowicz tak w „Transatlantyku” jak i w „Pornografii” czy „Kosmosie” może być uważany za narodowego czy Narodowego, to że występują u niego pierwiastki „narodowe” i że wiele jego tekstów jest pisane persyflażową formą staropolszczyzny, nie przeczy przecież wcale jego postawie. Bo przecież nie stwierdził bynajmniej, że literatura ma być wydestylowana z pierwiastków narodowych, jak też że te pierwiastki właśnie posiadać powinna. Tak więc jak mi się wydaje pańskie zarzuty opierają się na pewnym nieporozumieniu. Ale o co innego idzie: Najfatalniejsze jest to że nie pamiętam w związku z czym powołałem się poprzednio na Gombrowicza i dlatego dość ciężko jest mi teraz wyjaśnić samą istotę nieporozumienia. Być może znowu teraz ja strzelam w ścianę.

Podobnie jak i Panu zagadnienie „naród” nie spędza mi snu z powiek. W zasadzie jestem w tych sprawach całkowicie obojętny, przyznam jednak szczerze że patriotyzm budzi we mnie obrzydzenie. Naturalnie te sprawy łatwo jest demagogicznie uprościć i nie sposób zamknąć tego w tych dwóch zdaniach.

To co Pan napisał o tym, że przecież nie chcąc niczego reprezentować będę wszakże coś kiedyś reprezentował przyjmuję z pokorą i poddaniem się woli bożej. Zapewne ma Pan rację. Ale mnie chodziło tylko o złot plastyków w

Katowicach i o reprezentowanie na tym zlocie. Nie mogę na pewno wykręcić się od tego, że dla każdego [istniejąc] jestem w jakiś sposób reprezentantem jakichś określonych dla niego sił, czy to będzie sztuka, postęp w sztuce, degeneracja, schyłek, syjonizm, erotomania, religianctwo, klerkizm, masochizm, komunizm, faszyzm, anarchizm i że każdy [pozostając przy nomenklaturze gombrowiczowskiej] będzie „przyprawiać mi gębę” na miarę i krój swojego poziomu umysłowego. Nie mniej jednak ja nie roszczę sobie prawa do reprezentowania niczego więcej nad siebie samego, a obecnie właściwie to nie chcę reprezentować w ogóle nawet siebie samego, bo cóż to jestem ja? Mgławica, rzecz niesprecyzowana, ambiwalentna, ameba zmieniająca kształty, niczego nie dość pewna, stale się wahająca... To tak.

Pesymistyczny pesymista? Chyba obcy mi jest i pesymizm i optymizm, a może nie wiem co Pan pod tym rozumie. Jeśli maluję, jestem chyba optymistą? Gdy człowiek drży ze strachu, pragnie, płacze etc., to nie jest to ani pesymizm ani optymizm. Strach jest strachem, pragnienie jest pragnieniem, a płacz jest płaczem i niczym innym. Nie dobudowuję do tego żadnych filozoficznych uzasadnień. Między moim myśleniem, rozumem, racjami intelektu, a pragnieniami, zachodzi przepaść, której nie potrafię niczym zasypać. Pisze Pan, że jestem zapewne przekonany, iż już znalazłem ten kamień filozoficzny... A bo ja wiem? Chyba nie, bo po prostu go nie szukam, wychodząc z tego założenia, że wcale nie wiadomo czy on istnieje, a w takim razie może lepiej założyć że dynia posiada duszę nieśmiertelną i że z tą duszą można nawiązać kontakt i poszukiwać tego kontaktu. Istnieje nieprawdopodobna, być może nieskończona ilość rzeczy, których można by zacząć poszukiwać, o ile zakładalibyśmy roboczo że istnieją, bo istnieje w nas coś czego harmonijnym uzupełnieniem byłoby to właśnie poszukiwane coś. A skąd

przekonanie, że musi istnieć harmonijne uzupełnienie? Taki swoisty horror vacui... Píše Pan o konstruktywnej rozmowie. To coś jak z przesłuchania. Nie jestem wcale pewien czy możliwa jest konstruktywna rozmowa na temat stosowania tych, a nie innych pigmentów ze względu na trwałość obrazu, a co dopiero konstruktywna rozmowa na temat tak subtelnych rzeczy jak percepcja „świata”. Przecież to nawet indywidualnie jest płynne, nieokreślone i zlepione z samych imponderabiliów. Więc jeśli Pan pisze, że nie bardzo Pan wie czy możliwa jest taka rozmowa, to gotów jestem Panu zagwarantować że nie jest możliwa. Możliwa jest natomiast do diabła rozmowa niekonstruktywna! Czyżby Panu było szkoda czasu? W poczekalni dworcowej... ach prawda Pan nie wierzy w poczekalnię dworcową i zabijanie czasu. Ale wierzy Pan we wiarę, a to już jest coś, bo ja też, tylko że wiarę przyrównuję do wódki, więc wierzę tak trochę podle, ze strachu. Taka wiara, to taka wyższa forma duchowej prostytutki. Należy sobie wmówić wiarę, zbudować ołtarzyk i obkadzać go, bo z tym lepiej nam funkcjonować. Ale tak w głębi należy sobie zawsze zachować ze dwa kopniaki jakie możemy zawsze o ile znajdziemy dość siły zaaplikować swemu bogu, by uświadomić sobie choć od czasu do czasu, że jest on tylko bałwanem. Zresztą to nie moja myśl. Odsyłam do tomiku Vasko Popa „GRY”, wiersz pt. „DRZWI” [to raczej proza poetycka]. Bo jest dla mnie rzeczą oczywistą, że bez boga jakiegokolwiek boga, nie da się funkcjonować. Człowiek ma naturę sługi, musi służyć. Ale też objawiam zgoła obrzydliwym i w zupełnie złym stylu (he he) jest wierzyć do końca w swego boga. Ale czy Pan rozumie o co mi chodzi? Bo tu już od paru linijek wynurzenia niekonstruktywne... Aha jeszcze jedno: Gombrowicz. W Gombrowiczu jestem od dzieciństwa nieszczęśliwie zakochany. Niechże Pan da mu spokój. Dla mnie jest jedynym rzeczywistym pisarzem polskim, co

naturalnie nie znaczy bym miał być jakoś do niego w tym czy innym podobny. Ten typ szacunku jakim obdarzam Gombrowicza nie wiąże się z chęcią naśladowania, po pierwsze choćby z tego, powodu, że jest to literatura, a ja nie jestem pisarzem [próbowałem, ale okazało się to prawie bliźniaczo podobne do Robbe Grilleta, tak że poszczególne fragmenty można by wymieniać i chyba by nikt nie spostrzegł – naturalnie ja pisałem do szuflady i znacznie gorzej stylistycznie, mimo to jednak lektura „Domu schadzek” wywoływała we mnie wybuchy obłądnego śmiechu, bo były tam fragmenty dosłownie takie same konstrukcyjnie jak np., gazeta z wyobrażeniem miejsca akcji pod miotłą zamiataacza, rzeźby w ogrodzie, nieustanne nawracanie z wymienianiem wzajemnym osobowości oraz ról, postaci występujących, nawet rekwizytornia, w której walają się resztki dekoracji i zwielokrotnione elementy (tutaj kieliszki z obtłuczoną nóżką, u mnie tym razem wyjątkowo wypchane koty) – naturalnie nie śmiał bym się tak serdecznie gdybym jeszcze teraz pisał, ale pisałem w roku 1963-64 i potem dobrzy ludzie mi to wyperswadowali i słusznie się stało, więc teraz nie byłem już zaangażowany osobiście] więc to po pierwsze, a po drugie dlatego że w Gombrowiczu zachwyca mnie to właśnie czego nie potrafię sformułować, mimo iż myśli mi się tak samo i nagle to on formułuje, najzupełniej lekko, bez wysiłku i widzę że jest to ta moja nieszczęsna zaplątana w imponderabiliach myśl przedstawiona nagle jasno, zwięźle, w sposób zgoła elegancki pozornie bez wysiłku – w tej mierze najciekawszą lekturą jest niewątpliwie DZIENNIK – niestety mam tylko I tom, ale czytałem i czytam na bieżąco wszystko co facet pisze. No ale to Pana rozdrażni, bo Pan go prawdopodobnie niezbyt pozytywnie odbiera. O Boże, cztery kartki. Kończę. Byłem w międzyczasie u mechanika z aparatem. Muszę go oddać do remontu gwarancyjnego, albo w ogóle oddać, bo gwarancja nie

podbita [przezornie]. Naturalnie czynię to drugie, bo nie wierzę ci ja w remonty gwarancyjne. Muszę mieć aparat do reprodukcji prac. Boże co za idiotyczne komplikacje. I jak tu nie być paranoikiem? Pozdrowienia.